



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Fig. 25. Rozmaite ukwiały przyczepione do skał.

ŻYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dz. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Korale tem się różnią od *stulbii* i *meduz*, że najczęściej na wnętrzu ich ciała powstaje, podobnie jak u gąbek, szkielet wapienny lub rogowaty, który wytwarza twardą masę zwaną *korallowiną*. Bywają jednak korale nie mające szkieletu;

są to wielkie polipy mięsiste, żyjące pojedynczo. Nie przyrastają one do skał, lecz mogą, jak ślimaki, wolno przesuwać się z miejsca na miejsce.

Takie miękkie korale nazwano *ukwiałami* (*Actinidae*). Wdzięczne te zwierzątka są najpiękniejszą ozdobą nadmorskich skał, jak o tem wnioskować możemy z załączonej ryciny 25-ej. Mają one kształt wałka o pofałdowanej powierzchni i zakończonego wieńcem macków białych, czerwonych, zielonych i t. p. Niekiedy ukwiały łatwo oderwać można od skały; aby przyjrzeć się im bliżej, należy ostrożnie zanieść je do domu i umieścić w miednicy napełnionej czystą wodą morską. Początkowo ukwiały są mocno skurczone i wskutek tego bez-

kształtne, ale powoli oswajają się z nowymi warunkami i rozwijają swe macki. Wówczas będziemy mieli istną niespodziankę: naczynie napełnione przed godziną bezkształtnymi kawałkami ciała, zamieni się w bukiet pięknych ruchomych kwiatów.

Ukwały, jak już powiedzieliśmy żyją pojedynczo, lecz inne koralce najczęściej żyją gromadnie i wytwarzają podmorskie krzaki i drzewka zwane *polipnikami*. Dodać jednak należy, że istnieją kolonie koralu nieosiadłych, lecz wolno pływających w morzu. Między stowarzyszonymi istnieje atoli zupełna zgodność, gdyż przy najmniejszym niebezpieczeństwie cała kolonia natychmiast szuka kryjówki w piasku, zupełnie tak samo, jak to czynią robaki. Do takich wolnych koralu należą między innymi *wrzeciennica* (*veretillum*) fig. 26 i *piórówka*, o której niżej pomówimy.



Fig. 26. Wrzeciennica
(*Veretillum*).

Nierównie ważniejsze znaczenie posiadają dla nas koralce osiadłe, wytwarzające twardą koralowinę, najczęściej wapienną. Budowle koralu wapiennych dochodzą niekiedy do wielkich rozmiarów; zwłaszcza koralce zwane *tołpiami* (*madrepovaria*) zasługują na uwagę, ponieważ zmieniają wygląd naszej ziemi. W gorących krajach tołpie rosną tak niezwykle szybko, iż z koralowiny ich powstają wyspy zwane *otolami*, mające kształt zawsze niemal pierścieniowaty. Na oceanie Spokojnym są liczne archipelagi pochodzenia koralowego; zresztą pomówimy jeszcze obszerniej o tym przedmiocie.

Zwyczajne rozmaitych polipów.

Stułbie, meduzy i koralce chociaż podobne do pięknych roślin, w rzeczywistości są drapieżnikami, żywią się bowiem żywymi zwierzętami i chwytają nawet ryby. Odbywają one polowanie w sposób niezmiernie ciekawy, gdyż ciskają na swą zdobycz zatrute strzały, tak jak to czynią dzikie plemiona ludzkie. Posłuchajmy jak się to dzieje.

Cała skóra polipów, a zwłaszcza macki i ramiona zawierają mnóstwo pęcherzyków, napełnionych gryzącym płynem; prócz tego w każdym pęcherzyku znajduje się skręcony jak sprężyna włoszek. Gdy dotknąć polipa, to pęcherzyki natychmiast pękają, włoszek szybko się rozkręca, wypada z pęcherzyka wyprostowany, zanurza się w skórze innego zwierzęcia i wlewa do ranki gryzący płyn. Na naszą skórę płyn ten wywiera zupełnie takie wrażenie, jak gdybyśmy dotknęli się pokrzywy. Dla tej przyczyny przyrodnicy nazwali te szczególniejsze narzędzia polipów *parzydełkami*, a same polipy nazywano dawniej *pokrzywami morskimi*. Jad polipów wywiera piorunujące działanie na drobne zwierzęta; stają się one natychmiast nieruchome; wówczas polipy chwytają zdobycz mackami przyciągając do gęby i połykają. Tak więc polipy, chociaż z wyjątkiem meduz, nie mają oczu, jednakże doskonale celują do zwierzęcy, nie opuszczając nawet swego

stanowiska, gdyż większość ich bywa stałe przyrośniętą do skał.

Zapoznamy się zaraz z inną ciekawą właściwością tych zwierząt. Gdybyśmy przyjrzeni się drobiu, takim jak *stulbija* i okazałoby się, że te dwa rodzaje polipów, tak odmiennie co do kształtów, rozmiarów i sposobu życia, łączą jednak ścisłe związki pokrewieństwa. Tajemnicę tę wykryli przyrodnicy dopiero kilkadziesiąt lat temu.

(d. c. n.)

Zdrowaś Maryo!

Już jasne słońce w blaskach purpury
Ku zachodowi się skłania
Obłok złocisty z nad szczytów gór
Promienie jego przysłania.

Polnych koników grają kapele
W zaroślach ptaszek zakwili
Dokoła strojne ściele się ziele
W tej uroczystej dnia chwili.

Lasy i pola, sady i błonie
Owiała mgła różowa
A w lekkiej szacie, w lśniącej koronie
Zstępuje Niebios Królowa.

Zdrowaś Maryo! Z głosem wszechświata
Z kwieciami co Tobie śle wonie
Z ptaszkiem co nucąc ku niebu wzłata
Przed Tobą schylamy skrowie!

Zdrowaś Maryo! My dzieci Twoje
Do stóp Twych biegniem z radością
Pragnienia nasze, prace i znoje
Tobie oddajemy z ufnością.

Zdrowaś Maryo! Wszechświata Pani
Błogosław pól naszych plony,
Przyjmij łaskawie ten dzisiaj w dani
Wianek z ziół wonnych złożony.

Zdrowaś Maryo! Niepokalana
Wiernych Twych kieruj uczuciem
Niech przez potęgę którą Ci dana
Ojca w niebiesiech nie smucim.

M. D.

ODZYSKANY.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

Letnie poranne słońce oświeciło wierzchołki skał, które stały się różowe i rzuciły długi cień na rzekę, a mgła która je dotąd okrywała opadła już na dół i jeszcze tylko, j

lekka gaza, przysłaniała fale Dniestru błękitniejące coraz bardziej. U stóp skały, na samem wybrzeżu, znajdowała się mała osada rybacka, składająca się z chat kilkunastu; samo zaś miasto, zamieszkane przez ludność najróżnorodniejszą, — jak zresztą wszystkie pograniczne grody — wznosiło się na górze, pod osłoną zamku i klasztoru. Dniestr w tem miejscu tworzył kolano, a w samem prawie jego zgięciu stał zamek obwarowany mocnym ostrokołem, z czterema narożnemi basztami, na których dzień i noc czuwali zbrojni, gdyż jednej chwili zasnąć nie można było spokojnie, kiedy się straż trzymało na kresach. Ludzie w miasteczku tylko co powstawali i szli w pole do roboty, wszyscy spoglądali na oddział powracający ze stepu, pozdrawiając żołnierzy, jak znających.

Pan Wreszczatyński zostawiwszy swoich ludzi przed bramą, poszedł do zamku zdać raport komendantowi, tymczasem ci zaczęli się naradzać między sobą, co mają począć z dzieckiem.

— Mam ja brata na futorze bezdzietnego, a żonatego, on chętnie weźmie chłopca na wychowanie, bo im tam nudno samym we dwoje — ozwał się jeden z milicyantów.

— Ale my się praw do dziecka nie zrzekamy! — zawołał Bandura.

— Wszystko dobrze, ale dziecko w stepie nie wychowasz, bo mu trzeba babskiej opieki. Podrośnie chłopak, podchowa się, to go weźmiem od nich.

— Zgoda! — zawołali wszyscy! A gdzież to ten futor twego brata?

— Zaraz pod Teremcami, w jarze, o godzinę drogi ztąd.

— Ano to chyba tak zrobimy, jak on mówi — ozwał się kilka naraz głosów. A na utrzymanie dziecka złoży się cały nasz oddział.

Nadjechał pan Wreszczatyński i powtórzono mu zaraz ów projekt, który pochwalił wielce. Postanowiono zaraz udać się na futor Pawła Wakulaka. Tymczasem Bandura, zaszedł do pobliskiej chaty i tam poprosił o trochę mleka dla dziecka.

Gospodyni kiwała głową, gdy jej opowiedzieli jak znaleźli dziecko w stepie przy umierającej matce.

— Toż to ono biedne się wycierpiało — mówiła z westchnieniem. A któż go weźmie teraz?

— My — odparł z dumą Bandura — alboż to nas nie stać na to? Cóż ty sobie myślisz babo?

— Bóg was za to nagrodzi, żeście biedną sierotę przytulili — rzekła baba rozczulona.

— Bo i pewnie; sierota zawsze szczęście przynosi.

Futor Pawła Wakulaka leżał w głębokim jarze, w pobliżu wioski zwanej Teremce. W miejscu tem kilka jarów krzyżowało się z sobą i rozgałęziało w rozmaitych kierunkach, tuląc w swoich głębiach wiele futorów, ciągnących się jeden za drugim. Ludzie, którzy je zamieszkiwali, zwali się „jarowi” a byli to po większej części ludzie mężni, albo dawni żołnierze, którzy za zasługi wojenne otrzymali kawałek ziemi, albo też zwyczajni śmiałkowie kresowi, osiedlający się bez niczyjego pozwolenia, dlatego tylko, że im się miejscowość podobała, a nikt im tego zabronić nie mógł na owej pustce. Paweł Wakulak kiedyś za młodszych swoich lat, dosyć się nawojował, chadzał i pod Oczaków i na Krym, słowem: był z niego mójojec śmiały i pełen wojennej ochoty. Lecz będąc już starszym postanowił nieco się usatkwować; ożenił się więc, założył futor i osiadł w nim, od czasu do czasu biorąc udział w wyprawach na Tatarów.

Przystęp do futoru był dosyć trudny, bo prowadziła doń stroma ścieżka, idąca na dno jaru. Brat Pawła Andrzej, służący w miejskiej milicyi podjął się poprowadzić oddział drogą, znaną mu najlepiej ze wszystkich.

Ściany jaru zupełnie prostopadłe, ze sterczącymi gdzie-niedzie szaremi głazami, które czasem nasładowały niby starożytne jakieś rozwaliny, porośłe były dereniem, kaliną i czeremchą. W miejscu gdzie rozchodziły się dwa ramiona jaru, wznosiło się wzgórze, okrągłe, jakby ręką ludzką regu-

larnie wysypane, lecz było to tylko dzieło olbrzymich wód, które tamtędy przed wiekami przeszły i wyżłobiły owe głębokie jary, wyrzeźbiły w cudowne kształty owe skały szare, tak, że aż podziw człowieka zbierał na widok tego wszystkiego.

W samym dole widać było potok, ocieniony w niektórych miejscach drzewami tak gęsto, że płynął jakby pod sklepieniem z zieleni, niedopuszczającem wcale słonecznych promieni. Z drzewa na drzewo przeskakiwały powoje i chmiel dziki, pnąc się niemal aż na same wierzecholki; w jednym miejscu przez potok była przerzucona kładka, a na wielkiej łączce pasło się kilka kóz. Wreszcie na zawrocie jar się rzszerzył nieco, ścieżka biegnąca wzdłuż potoku stała się wyraźniejszą i ukazał się futor. W pośrodku stała duża chata, a przy niej parę zabudowań gospodarskich, wszystko otoczone wysokim murem z narzucanych kamieni, w którym były otwory w kształcie strzelnic. Tuż za chatą znajdował się sadek i ogród warzywny, który ściana jaru osłaniała od wiatrów północy, to też można tam nawet było widzieć kilka-naście winnych krzewów. Nieopodal zaś była pasieka, ocieniona lipami. Dwa olbrzymie psy, bardzo podobne do wilków wyskoczyły z podwórza skoro oddział zbliżył się ku bramie. Na ścieżce z przeciwnej strony tymczasem ukazała się wysoka kobieta z kosą na plecach. Była w średnim wieku, przystojna, czarnooka i czarnobrewa, ubrana w ciemną wełnianą zapaskę, z głową owiązaną czerwoną chustką.

— Dzieńdobry mójojcy — zawołała zdaleka — czego wam trzeba? „Mego” niema w chacie, ale powróci niedługo.

— Daj Boże zdrowia! — ozwali się żołnierze — a my tu do was gosposiu z ważną sprawą...

— Ale, i Andrzej tu? — rzekła gospodyni spostrzegłszy brata mężowskiego — no, zsiadajcież z koni, i chodźcie na przyzbę, Paweł zaraz powróci, pojechał w pole do żyta. Ja byłam na sianokosie, trzeba było ukosić trochę trawy. A to co za dziecko? — dodała, spostrzegłszy dopiero małego naszego bohatera. Zkądżeście je wzięli, gadajcie!

— Oho, takbyście zaraz chcieli wiedzieć wszystko — przekomarzał się Andrzej — poczekajcie-no trochę.

Tymczasem gospodyni, rzuciwszy kosę na ziemię, podeszła już do Bandury i zaczęła przemawiać pieszczotliwie do dziecka, które wyciągnęło do niej rączki odrazu.

— Mojaż ty ptaszyno! — zawołała rozczulona kobieta — a ty to nawet dziecka trzymać nie umiesz — ofuknęła Bandurę — daj mi go tu zaraz!

To mówiąc, odebrała żołnierzowi dziecko i poczęła go nosić po podwórzu, huśtając i przyspiewując głosem na pół męzkim, który jednak nabierał dziwnej łagodności wobec dziecka:

Oj śpij dziecię, kołyszę cię
A jak zaśniesz, porzucę cię
A jak zaśniesz porzucę cię!
Porzucę cię w czystym polu,
Śpij dzieciątko, mój sokole.

— Możebyście radzi byli, ciotko, gdybyśmy wam tak tego chłopaka zostawili, co? — ozwał się jeden z żołnierzy z uśmiechem do gospodyni.

— Albo ty myślisz i tak, że ja go wam oddam? — rzuciła mu przez ramię gospodyni, nie przestając huśtać chłopaka. Złotko moje, albo to wy potraficie, stepowi żołnierzyska z dzieckiem się obchodzić? Albo to wasze ręce do tego stworzone?

— A co nam dasz, jeżeli ci dziecko zostawimy? — spytał Andrzej z uśmiechem. Widzisz, znaleźliśmy je w stepie, matka mu zmarła. Tu opowiedział całe wydarzenie, poczem rzekł: Otóż zaraz mi przyszło do głowy, że wybyście z Pawłem wzięli dziecko na wychowanie, kiedy swoich nie macie. Wym na niego składać się będziemy każdego roku, aby mu nie brakło niczego, bośmy dali sobie słowo, że sieroty nie opuścimy.



Budowle historyczne w stylu gotyckim na Wystawie w Peszcie.



Budowle historyczne w stylu romańskim na wystawie w Peszcie.

— U nas i bez tego na futorze jest wszystkiego dostatek — odrzekła gospodyni — chłopiec krzywdy mieć nie będzie.

— Ale my, jego ojcowie, chcemy żeby się chował jak szlacheckie dziecko, aż dokąd nie wyrośnie na rycerza!

— Niechaj mu na niczem nie zbywa!

— Ano, jak sobie chcecie, ale to dziecko zostaje u mnie. Już niech tam sobie Paweł rad będzie czy nierad z tego, ale ja chłopca nie oddam nikomu.

To mówiąc weszła z dzieckiem do chaty i natychmiast zaczęła się krzątać koło niego; owinęła w świeże płachty, przyniosła mleka z komory, by je pokarmić, a z ust jej co chwila sypały się wykrzykniki naprzemian to zachwytu, to współczucia. Zawołała z drugiej izby dziewczki służące, każąc jej podziwiać swój nowy nabytek.

— Patrz-no Marylko, jaki to tęgą chłopak. A niechaj on się trochę podkarmi, wówczas będzie śliczności.

— Toż to mizerota — ozwała się Marylka ze współczuciem, kiwając głową.

— Pewnie i ty byś była mizerotą, gdyby cię na stepie znaleziono umierającą. Biedna ty moja sierotko, gołąbeczku, zuzulo, ja ciebie nie dam nikomu na pokrzywdzenie, będziesz ty u mnie rósł jak ten dąbek zielony w lesie. Patrzaj Marylko on mi chustkę z głowy ściaga! Dzielną chłopak!

I tak zachwycały się obiedwie chłopcem aż do przybycia Pawła, któremu żona natychmiast opowiedziała o zamiarze wzięcia dziecka na wychowanie.

— A czemużby nie? Ja tam tobie nie bronię. Z dzieckiem w chacie będzie weselej — odparł Paweł. Był to chłop silny, barczysty, a z oczu mu patrzyły spryt i śmiałość. Z pola wracał ale rusznicę miał na plecach, bo na kresach w owych czasach nieuzbrojonym nikt z domu nie wychodził.

Tymczasem słońce, zaczęło się zniżać poza skały i pastuchy przypędzały bydło ze stepu. Co zaś do koni, których Paweł miał całe stado, to nocowały sobie w stepie, zarówno jak i owce pilnowane przez czabanów oraz olbrzymich psów owczarskich. Paweł Wakulak był gospodarz dostatni, trzymał też do pomocy dwóch parobków, nie licząc pastuchów, żona zaś miała dwie dziewczki, pomagające jej w gospodarstwie domowym. Nie ograniczała się ona jednak tylko na domowych zajęciach, często, zwłaszcza gdy Paweł wybrał się na Tatarów, musiała kierować całem męzkim gospodarstwem i gdy trzeba było, to potrafiła i zaorać i ukosić trawy, słowem była tęgą babą, jak nieraz mąż wyrażał się o niej.

Goście zostali zaproszeni na wieczerzę; wyniesiono stół przed chatę i wszyscy zasiedli na przyzbie i na ławach. Wieczer był piękny i cichy zwłaszcza w jarze, gdzie żaden powiew wiatru nie dochodził; nad wierzchołkami skał rumień się zorza, a już i księżyc wypłynął biały na niebo. W sadzie za chatą i w olszynie słowik poraz ostatni jeszcze zaszebiotał kilka razy, a zdaleka dochodziły krzyki ptactwa dzikiego: orłów, sępów, czapel powracających z żeru. Tuż za Teremcami ciągnęły się ogromne lasy, nietknięte jeszcze żadną siekierą i służące za schronienie różnym hultajom i rozbójnikom; dlatego to futory na noc opatrywano jak warownie, bo nierzadko zdarzały się napady rabusiów w tych okolicach, w których natura sama zdawała się urządzać kryjówki dla złoczyńców.

— A jakże u was na futorze teraz, spokojnie? — pytał Andrzej Pawła.

— Ano, jakoś od miesiąca nie nawiedzili nas ani Tatarzy, ani łotrzyki, ale przyjdą oni jeszcze, jak się z pola sprzątnie, to przyjdą, jeszcze nigdy bez tego się nie obeszło.

— No, a przecież z murzą Karadszą jesteście w przyjaźni, toć niech on powstrzyma swoich pobratymców od napadów na swój futor.

— Gadasz tak jakbyś nie wiedział, że murzowie wadzą się między sobą i często jeden pod drugim dołki kopie, więc cóż głos jednego może znaczyć dla innych?

— Hej, hej, alboż to u nas można mieć choć chwilę spokojną z temi bisurmanami? — ozwał się jeden z żołnierzy.

Oczekać tylko jak znów rozpuszczą zagony po całym kraju jak dwa lata temu.

— Że też się nikt nie użali nad naszą dolą — tam w górze — dodał drugi, wskazując ręką przed siebie. Czy to już tak być ma żebyśmy pracowali na Tatarów?

— Ej, co tam mają myśleć o nas, mają i oni na głowie ważniejsze sprawy — rzekł Andrzej a u nas już tak od wieków z dziada pradziada bywało, że nam Tatarzy ciągle brzdzi, a przeto jakoś po dziś dzień żyjemy. Ja tam wcale nie myślę, co będzie jutro — a co mi potem! Może dostanę się w łyko tatarskie, a może będę ziemię gryzł w stepie, byłem tylko przedtem zalał dobrze sadła za skórę tym psim synom, niczego więcej nie pragnę.

— Dobrze rzekłeś — zawołali inni — co tam człowiek ma głowę łamać nad tem, co z nim się jutro stanie? A toć, chyba ni jednej chwilki nie było wesołej.

Tak rozmawiając siedzieli do późnego wieczoru przed chatą na przyzbie. A wieczór był tak cichy, tak ciepły, że aż na duszy błogo się robiło i nie chciało się prawie wierzyć by ziemia tak piękna nie mogła dać na chwilę nawet bezpiecznego przytułku...

(d. c. u.)

Trzy wielkie wystawy tegoroczne.

III.

Wystawa Peszteńska niema może tak wielkiego znaczenia przemysłowego i handlowego, jak wystawy w Niższym Nowogrodzie i Berlinie, ale jest bardzo ciekawą pod względem historycznym, ponieważ urządzoną została na pamiątkę osiedlenia się Węgrów pośród plemion Sławiańskich, co miało miejsce pod dowództwem Arpada w końcu IX stulecia. Z tego powodu zgromadzono tam wielką ilość cennych pamiątek z całego tysiąclecia, a budowle grupy historycznej wzniesione według stylów z dawniejszych epok. Samo otwarcie wystawy połączone było z uroczystościami dworskimi i krajowemi.

Peszt, liczący około pół miliona mieszkańców, leży na lewym brzegu Dunaju, a naprzeciw niego na wysokim brzegu prawym — Buda. Oba te miasta połączone są kilku mostami, a jeden z nich, wiszący, przedstawia się niezmiernie okazyale. Niedaleko od tego mostu znajduje się uroczą wyspę Małgorzaty, z prześlicznym cieniastym parkiem.

Wystawa mieści się we wschodniej części miasta, w tak zwanym lasku miejskim, przerznanym stawami i kanałami. Prowadzi do niej szeroka ulica Andrassy'ego. Plac wystawowy zajmuje 520000 metrów kwadratowych. Najwspanialsze przedstawiają się budowle grupy historycznej: grupa rzymska uzmysławia czasy Arpadów, gotycka — epokę królów z dynastji Andegawenkiej i Korwinów, wreszcie w pałacu w stylu odrodzenia pomieszczone są pamiątki epoki Habsburgów. Dwie pierwsze grupy przedstawiają nasze ryciny; w dzimy w nich różnicę między stylem rzymskim w architekturze, który panował przeważnie w XII wieku i stylem gotyckim.

Najcenniejszym zabytkiem, mieszczącym się w zaimm gotyckim, jest własność katedry arcybiskupiej w Granie, tak zwana „Złota Kalwarya” Macieja Korwina. Zrobiona w kształcie krzyża ze złota, bogato emaljowana i formalnie usiana perłami, rubinami, szafirami i innemi drogiemi kamieniami, relikwia ta przedstawia drogę krzyżową Chrystusa Pana, w tym samym zamku znajduje się także pokoik, w którym nieustannie przesuwają się czworokątne woreczki. Po w rzeczkach tych mieszczą się ważne stare dokumenta, a w ten sposób przez ciągły ruch ochraniają je dawniej od napadów szczurów i myszy.

Niemniej ciekawą jest odtworzona z należytą ścisłością „Stara Buda” z czasów, kiedy to miasto w ciągu XVII wieku znajdowało się w ręku Turków. Mieszkają w niej Turcy w ówczesnych strojach, są kawiarnie tureckie i wiele pamiątek z tej doby.

Osobny dział zajmuje wystawa etnograficzna. Jest tam wieś, składająca się z kilkudziesięciu typowych chat, ratuszów, kościołów i szkół. Wieś zamieszkują przedstawiciele plemi i państwa Węgierskiego: Madziarów, Rumunów, Słowaków, Serbów, Cyganów i Szeklerów. Żyją tam oni po swojemu, urządzają jarmarki, kiermasze, wesela i t. p.

Naturalnie oprócz części historycznej i etnograficznej, przedstawione zostały na Wystawie wszystkie okazy działalności przemysłowej, rolniczej i handlowej, także wystawa sztuk pięknych z uwzględnieniem ich rozwoju oraz rozwoju piśmiennictwa i nauk.

SERBSKA DZIEWCZYNA.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SERBII W XIV STULECIU

przez

Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Martwe zwłoki syna—oddali panowie carowej Helenie i pochowali cara wspaniale, a potem nie mając czasu nowego obrać pana na wojnę pospieszyli. Właśnie w tym czasie Turcy toczyli walkę z państwem bizantyńskim i cesarz wezwał pomocy Serbów; Wukaszyn, oraz dwaj inni rządcy Serbii Lazar i Jug pospieszyli na wezwanie, lecz wszyscy pobici zostali, a Wukaszyn z boju nie wrócił: śmiertelny grot czaszkę mu rozbił podczas walki, płakała po nim żona, jak po Uroszu płakała matka.. Lazar tylko ocalał. Gdy powrócił, Serbowie ogłosili go królem, ale Serbia była już wówczas czaszczupłą, Ludwik Węgierski korzystając z nieładu jaki w niej panował, zabrał nam Banat, Bośnia się oderwała, a nikt się o to nie upominał, bo panowie serbscy się swarzyli; zazdrościli Lazarowi władzy, każdy mówił, czemu nie mnie obrano królem, czemu jednemu wszystko oddali?

— To Lazar teraz panuje? — pytał Stefanek.

— Panuje i dobrym jest królem i kocha Serbię, ale to nie jest dzielny, potężny Duszyn — odparł Tetera, smętnym wzrokiem wpatrzywszy się w Belgrad...

Dwie łzy zadrzały poraz trzeci na siwych rzęsach starca i spadły jak pierwsze na głowę wnuka, lecz chłopię tym razem wstrząsnęło czarną czupryną, niby lwiątko grzywą.

— Nie płacz dziadziu — rzekło — ja kocham Serbię, kochają ją moi bracia i siostry, gdy dorośniemy, pójdziemy do króla Lazara i powiemy mu: „Daj nam ostre szable, będziemy ci służyć byś potężnym się stał, jak car Duszyn, by Serbia była wielką, jak wielką była za cara Duszana”.

Tetera przycisnął wnuka do serca.

— Rośnij mi na pociechę i chlubę, rośnij na chwałę Serbii, na szczęście twoich współbraci — rzekł drżącym od wzruszenia głosem.

Wtem na drodze od lasu wiodącej ukazało się trzech jeźdźców.

— Wracają — rzekł stary.

Stefanek i Jagoda zeskoczyli z kolan dziada i ku furcie dziedzińca pobiegli, roztworzyli ją na oścież, wjechali w nią jeźdźcy: przodem urodziwy chłopak, o ciemnych włosach i siwych oczach, samodziłowej kurtce z burego sukna, z szerokimi rękawami, w takichże szarawarach, z pod kurty widać było bogato haftowaną koszulę, przepasaną ponsowym pasem, na głowie miał kołpak, na nogach płytkie trzewiki, jechał oklep, koni jego miał tylko czaprak na sobie,

u którego z boku z każdej strony wisały trofea zdobycze myśliwskich. Był to Marko... Za nim dążyli dwaj jego bracia starsi: Wojda i Miłosz, byli podobnie jak najmłodszy ubrani, z tą tylko różnicą, że mieli ciemne pasy; i oni także mieli zdobycze myśliwskie. Tentent koni zwał przed dom niewiasty, wybiegła Anka, ta do Marka pospieszyła, by konia jego do stajni odprowadzić; synowe Tetera, dźwigając niemowlęta szły mężów witać. Stefanek i brat jego stryjeczny Janko ujęli za uzdę ojcowskie konie. Przybyli pospieszyli do siedzącego na czerdaku starca i pochylił się z pokłonem do nóg jego.

— Spotkaliśmy w drodze pędzącego gońca królewskiego do nas — rzekł Marko.

— Czegoż chciał? — zapytał Tetera ciekawie.

— Król Lazar zaprasza nas na łowy — rzekł Miłosz.

Czarne łuki brwi starca ściągnęły się, splunął i ręką machnął; widocznem było, że to zaproszenie nie podobało się mu, ale nic nie odpowiedział.

— Chodźmy na wieczrę — rzekł tylko — słońce już zaszło, czas ludziom spocząć.

I poszli do izby, stół białym obrusem zasłany, zastawiony cynowymi misami czekał na nich; przy stole widać było s.wą, jak gołąb niewiastę, o twarzy białej i dziwnie spokojnej; zakonną szatę miała na sobie, była to żona Tetera; synowie zadenali do niej z szacunkiem i do kolan jej się pochyliłi, ona każdemu dłoń na głowie położyła.

— Dobry wieczór Wojdo, dobry wieczór Miłoszu — mówiła — dobry wieczór Marku. Ku temu ostatniemu pochyliła się, drżącymi rękoma ujęła jego głowę i na czole czuły pocałunek złożyła. — Czy szczęście sprzyjało ci chłopcze? — spytała.

— I jak — odparł Marko wesoło — ubiłem lisa, który był postrachem kur i kaczek naszej wsi, ubiłem też wilka, który po polach naszych i łąkach napastował niewiasty i dzieci, a na zakończenie pomyślnego dnia zaproszony zostałem na łowy królewskie.

— Lazar gońca do nas przysłał — rzekł z odcieniem dumy w głosie Miłosz — jutro wielkie łowy wyprawia, zaprosił na nie możniejszych ziemian.

Stara głową pokiwała i jej widocznie nie podobało się to zaproszenie.

— Łowy i uczty tylko mu w myśli, a chmura wisi nad Serbią — szepnęła — ogniska domowego strzeżcie, radzę wam, a nie po lasach biegajcie, lada dzień z chmury gromy wypadną, spalą wam mienie, jeśli czuwać nad niem nie będziecie.

— Nicbo jasne, gwiazdy wesoło świecą, na burzę się nie zanosz, matko — odezwał się Marko.

Maryca głową pokręciła, wyciągnęła żółtą, kościstą rękę i wskazawszy palcem na południo-wschód, rzekła grobowym głosem:

— Tam bielmem zasłonięte moje oczy chmurę widzą, toczy się ona zwolna, lecz zbliża ciagle ku nam, coraz groźniejsza... Wy nie słyszycie, ale ja słyszę oddalony huk gromu; wy nie widzicie, ale ja widzę ogniste zygzaki, jakie ona pisze na niebiosach, by nas ostrzedz; wy ich nie rozumiecie, ale ja je rozumiem, a w tych znakach czytam: biada, biada Serbii!

Synowie spojrzeli na ojca, on westchnął ciężko.

— Ma słuszną matką, sarkając na te łowy — odezwał się poważnym głosem — lepiej zrobił car Lazar, żeby myślał o tem, jak Serbię dźwignąć z upadku, toć zubożeliśmy przez długoletnie wojny, skarb pusty, a on bawi się tylko... Lecz nie nam królowi rozkazywać, słuchać go nasza rzecz... wezwał, jechać musicie, ale nie zawadzi mu napomknąć, że nie wszyscy w narodzie radzi tym ustawicznym ucztom i uciechom, że starzy sarkają.

Maryca nie odzywała się teraz, zdawała się nie słyszeć męża, w otwarte okno na wschód wychodzące ciagle patrzyła i trzęsła głową, jak gdyby w istocie tam w dali czarna chmura wisała; a tam gwiazdy były coraz liczniejsze i coraz wese-

lej mrugały, lecz ona ich nie widziała: starość przyniosła jej w darze ślepotę; oczyma duszy widziała za to rzeczy, których inni dopatrzeć nie mogli.

Anka i dwie jej bratowe wniosły tymczasem misy z ja-
dłem: z dwóch mleko dymilo, na trzeciej widać było mięso
pieczone, a zapach, jaki się z niej rozchodził, zdradzał, że ko-
złą poświęcone zostało na ucztę domową. Przed matką po-
stawiała Anka osobny talerz z plackami pszennym i kubek
mleka chłodnego, przed ojcem i braćmi dzban śliwownicy,
a jako zakąskę do niej pieczoną cebulę.

Wykwintna jak na owe czasy była to wieczerza, lecz
stać było na nią Teterę. Gdy misy zostały opróżnione, ro-
dzina udała się na spoczynek. Przy starej matce została
tylko Anka, usiadła u jej nóg i smutne oczy na nią podniosł-
szy, spytała:

— Zkąd chmura idzie, czy z daleka?

— Z Turcyi — odparła stara, i obie dłonie na jasnej
głównie dziewczęcia położyła.

— Czemu najmłodszym moim pisklętom Pan ciężką
dolę gotuje — rzekła drżącym głosem — niewinne one jeszcze,
bardziej niewinne, niż starsze, a cierpieć srożej będą...

I trząść poczęła głową i wdychać ciężko.

— Pączki moje, gotowieście zwiędnąć, zanim pora roz-
kwitu wam błysnie — szeptała i owocu po sobie nie zostawi-
cie i zmarniejecie mi smutnie, oj, dolaż moja dola, czyż na
tom was chowała, na to życie wam dałam?...

Anka przycisnęła rękę matki do ust.

— Lepiej, że pączek zwiędnie, niż kwiat rozwinięty, bo
paka nikt jeszcze nie widział, więc tęsknić nikt za nim nie
będzie — rzekła, siląc się na wesołość — lepiej, gdy młoda
dziewczyna lub chłopiec umiera, niż matka córkom, żona mę-
żowi, lub ojciec synom.

II.

Rzenie rumaków zbudziły nazajutrz o świcie Ankę, wy-
biegła na dziedziniec, by braci pożegnać, lecz już tylko od
drogi dobiegał głuchy tentent, ujrzała w dali pędzących na
koniach junaków, popatrzyła za nimi a potem zwróciła spoj-
rzenie na wschód i przypomniały jej się słowa ślepej matki.

— Marku, Marku — szepnęły jej usta, i westchnienie
nie ciche, jak powiew wietrzyka poleciało za ukochanym bra-
tem; poczem siadłszy na stopniach czerdaka, utonęła w zadu-
mie, lecz wesołe głosy dzieci zbudziły ją niebawem. Stefanek
obie dłonie oparł jej na ramionach, Jagoda na kolanach jej
siadła, Janko u nóg leżał, Sława i Zuzula jego siostry, tuż
przy nim.

— Chodź z nami do lasu — chórem wołać poczęli.

Anka nie była potrzebną w domu, bratowe same rzą-
dzić wołały, więc podniosła się, dzieci uczepiły się jej spódni-
cy, młodsze biegły przodem w wesołych podskokach, ona szła
milcząca i smutna. Chcąc ją rozweselić, Stefan począł opo-
wiadać jej o tem, co słyszał wczoraj, o carze Duszanie, ona
słuchała go, modre jej oczy patrzyły ku wschodowi, słońce
świeciło tam jasno, lecz ona chmurę widziała i pytała jej
cicho:

— Chmuro czarna. com ja tobie zawiniła, co ci Marek
zawinił, że piorun na młode nasze głowy gotujesz; chmuro
okrutna, czemu ty nie użalasz się nad młodością naszą?

Dotarli wreszcie do lasu, dzieci rozbiegły się szukać ja-
gód, Anka siadła na mchu i myślała o tem tylko, co mówiła
ślepa matka. Wczoraj zdało jej się, iż nie obeszała jej zła
wróżba, a dziś nie wiedzieć czemu ogarnął ją żal nad samą
sobą, żal ten wołał w jej duszy: „szkoda ciebie, jesteś młoda,
piękna, kochają cię ludzie, szczęśliwą być możesz; szkoda
Marka, dzielny junak z niego, oboje nie zaznaliście jeszcze
życia, a życie takie piękne, ziemia taka urocza”.

Uroczą była w istocie w tej chwili: wierzchołki jodeł,
kąpiąc się w blaskach słońca, zdawały się być ulane ze złota,
krople rosy, pożyczły barw tęczy od słońca i jak bry-
lanty pięknymi kolorami oczy nęciły; tu i owdzie nigały ko-
rałowe owoce jagód i kwiaty różnobarwne; na gałęziach so-
sen, ptactwo głośno świegotało, skacząc, trzepocząc się, a ze
świągotem tych maleństw, męszczały się wesołe głosy dzieci.

— Chcę żyć, chcę żyć dla ludzi, dla ziemi mojej, dla
Boga! — wołało serce dziewczyny — chmuro czarna, nie
strasz mnie zimną, kościstą śmiercią.

Smutne myśli znużyły w końcu Ankę, oparła głowę
o pień drzewa i sen ją ogarnął, niosąc dziwne widzenia. Zda-
wało się jej, iż ciemne sosny otaczające ją, zapadły się w zie-
mię, że las gdzieś w dali tylko czernieje, a nad nią rozpoście-
rają się jasne błękity, że pod temi błękitami płynie w powie-
trzu cudnej urody dziewica, która goni obłoki.

— Willa, tak to Willa — szepnęła sennym, rozmarzo-
nym głosem i wyciągnęła ramiona do pięknego widziadła. —
Willo, boginko naszych lasów, zlituj się nademną i nad mo-
im bratem, poczęła się modlić.

Piękna dziewczica zmarszczyła surowo czoło.

— Kto śmie przerywać moją zabawę? — spytała.

— Ja, córka Tetery — odparła nieśmiało dziewczyna —
tyś potężna i szczęśliwa, jam biedna bardzo, zlituj się nade-
mną: czarna chmura gotuje piorun na moją młodą głowę i na
głowę mego brata, którego kocham więcej niż siebie, odegnaj
chmurę od nas, tyś silniejsza od niej...

Willa spojrzała na proszącą i w sercu jej zbudziła się
litość.

— Wracaj spieszenie do domu dziewczyno — rzekła —
radość cię tam czeka, wracaj do domu zaraz, serdecznie po-
witaj tego, który pierwszy wyjdzie naprzeciw ciębie, to wasz
zbawca.

Anka porwała się z ziemi, a Willa znikła; dziewczyna
szukała jej wzrokiem, lecz dopatrzeć nie mogła, czarne so-
sny ją otaczały znowu, pomiędzy niemi ujrzała biegające
dzieci

— Do domu! do domu! — zawołała.

Dziatwa zbiegła się koło niej.

— Dla czego tak wczesnie chcesz wracać? — zapytał ją
Stefanek.

— Bo w domu gość nas czeka — odparła Anka.

— Kto taki?

— Zobaczysz.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z rycinami) — Zdrowaś Maryo, wiersz przez M. D. — Odzyskany, powieść przez
Maryę Łopuszańską. — Trzy wielkie wystawy tegoroczne (z ryc.) — Serbska dziewczyna, powieść z dziejów Serbii w XIV stule-
ciu przez Teresę Jadwigę. — **Dodatek:** Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. (z ryc.) — Złota rybka,
wiersz. — Łamigłówki, rozwiązania. **Dodatek książkowy:** Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

WIECZORY RODZINNE

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Czy nie trzeba by raz już wybadać chłopca? — zapytała jednego dnia panna Hortensya pana Dumany. — Trzeba wiedzieć jak oni przyszli do posiadania tak drogocennych przedmiotów. Im lepiej ich poznaję, tem więcej przywiązuję się do tych dzieciaków, a ten brylant ciągle mi na pamięci, nie znaleźli go przecież na drodze!

— Masz zupełną słuszość, moja Hortensyo... Przyślij mi chłopca jutro rano, gdy będę na przechadzce, pomówię z nim paląc fajkę.

W gruncie rzeczy pan Dumany bał się tej stanowczej rozmowy, wołał niepewność niż przekonanie, że dzieci którym dał schronienie pod swym dachem, nie zasługują na opiekę jaką ich otoczył i której w takim razie zmuszony byłby się wyrzec.

Następnego dnia rano, tak jak sobie tego życzył, Iwonek zjawił się, przysłany przez pannę Hortensyę.

— Pan mnie wołał? — zapytał zdejmując czapkę.

— Gdzie znalazłeś brylant? — zapytał pan Dumany, chcąc od razu zbić chłopca z tropu i tym sposobem wyciągnąć zeń wyznanie.

— A co to jest proszę pana?

— To nazwa kamienia, który miałeś w kieszeni.

— Nie słyszałem nigdy takiego słowa: brylant, mój kamyk to kawałek ładnego szkła.

— Ani rumieńca, ani najmniejszej trwogi na twarzy Iwonka dostrzedz nie można było.

— Gdzieżeś ty się chował?

— A tutaj i u mamy.

— I nigdy nie słyszałeś o brylantach?

— Nigdy, a do czego to służy?

— Robi się z tego naszyjniki, bransolety, pierścionki, a mówiąc to pan Dumany, uśmiechał się z nieświadomości Iwonka, bo i zkąd rzeczywiście w chatce jego rodziców mówionoby o brylantach? — Ale przecież musiałeś bywać w jakimś większym mieście w waszej okolicy — dodał — i tam widziałeś zapewne sklepy jubilerskie?

— Nigdy panie nie byłem dalej jak w Plumanach i to tylko w kościele, a czasami z mamą, gdy wyręczając ojca niosła ryby na sprzedaż.

— A więc jakim sposobem ten brylant znalazł się w twej chustce?

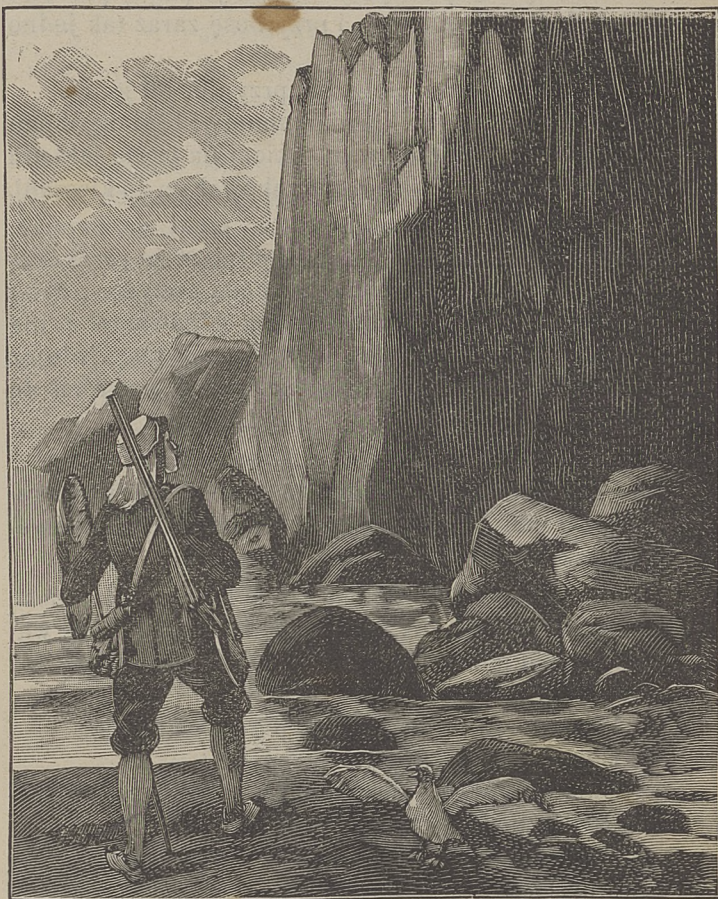
— Znaleźliśmy go w takiej śmiesznej szkatułce, na której w około byli wyrżnięci ludzie, zwierzęta i ptaki. Ledwośmy ją zdołali wyciągnąć, tak głęboko była ukryta i zakopana w kryjówce mewy, ona to naprowadziła nas na jej ślady.

Tu Iwonek opowiedział całą historję wydobywania szkatułki.

— I cóżeście w niej znaleźli otworzywszy?

— Białe kamyki jak ten który mam, czerwone, zielone, przeszło po ośmdziesiąt każdego koloru, i perełki tak duże jak orzechy. Melcia mówi, że są prawie tak ładne jak w koronie Matki Boskiej w naszym kościele i warte po pięć a może nawet po dziesięć susów za sztukę.

— Ależ to cały majątek, jeżeli wszystko to prawdziwe, zielone to szmaragdy, czerwone rubiny, a i perły



W tej samej chwili posłyszałem śmiech dziecinny...

w tak dobranem towarzystwie muszą być prawdziwe. A gdzieżeście zostawili tę szkatułkę, czy jej wam kto nie weźmie?

— O niema obawy proszę pana, została w grocie naszej skały, a nikt tam wejścia nie zna tylko my sami, Melcia go odkryła, a ja za każdym razem miałem strachu nie mało, wsuwając się za nią do tego otworu zawalonego piaskiem.

— Ale czyście pewni, że nikt tam drogi nie znajdzie!

— Mieszkaliśmy tam blisko dwa miesiące i nikt nas nie odkrył, ale jest ktoś który się domyśla, żeśmy tam mieszkali.

— I któż to taki?

— To ten co przyklejał kartki do szyjki naszej mewy, ona codzień rano wyfruwała, a wieczorem powracała do nas na nocleg. Przez ostatnie trzy dni codzień znajdowaliśmy na jej szyjce przyklejone karteczki, na których było napisane: „Wiem, że tam jesteście”... I to głównie skłoniło Melcie, żeśmy ztamtąd uciekli, bo nużby ten ktoś doniósł karczmarce, że nas odkrył!

— A poznalibyście waszą skałę?

— Ma się rozumieć! To tak jakbym ja pytał czy pan pozna swój pałac?..

— Czy i moneta którą posiadasz była także w szkatułce?

— O nie, kopiąc raz piasek znalazłam ją w ziemi.

— A jeżeli dam ci dziesięć franków za pieniądź i brylant, czy mi je odstąpisz?

— Ja wolę bez pieniędzy oddać je panu, pan taki jest dobry dla nas, pobiegnę i przyniosę zaraz tak jedno jak drugie.

— No dobrze, przyjmuje, idź przynieś mi je.

Gdy Iwonek powrócił, podał monetę i brylant, a pan Dumany raz jeszcze rzuciwszy okiem na ognie jakimi świecił się brylant, wraz z monetą schował go do kieszeni.

— Dziękuję ci mój chłopcze — rzekł do Iwonka, a w duszy myślał sobie: — Tym razem jestem przekonany, że się nie pomylił, malec mówi prawdę, gdyby ukradł te przedmioty, inaczejby mi odpowiadał i nie rozstałby się z nimi z taką łatwością. I pogwizdując wesoło, otoczony zgrają ulubionych psów, powrócił do domu.

— Czy nie pisał do ciebie pan Andeo kiedy powraca? — zapytał pan Dumany przy obiedzie siostrzeńca swego, Franciszka.

— Owszem wuju, miałem list w którym mi donosi, że w niedzielę będzie już tutaj. Sześciotygodniowe wakacje jakich mu udzieliłeś, w tych dniach się kończą.

— Gdzież on przebywał?

— W Bretanii, zwykły to cel jego wycieczek.

— Dobrze się bawił?

— Nadzwyczajnie zadowolony, pisze, że opowie nam całą swoją podróż.

— Bardzo rad jestem, że wraca, brak mi już bardzo jego towarzystwa.

— Masz dziwny dar mój bracie, przywiązywania się prędkiego do ludzi — z przekąsem odezwała się pani Dumany.

— Nie myśl jednakże, żebym łatwo dał się oszukiwać. Gdy po śmierci brata mego podjął się opieki nad Franciszkiem, chcąc mu ojca zastąpić, postarałem się o wynalezienie mu światłego nauczyciela. Wybór mój padł na pana Andeo, syna przedwcześnie zmarłego na stanowisku oficera marynarki. Zalecił mi go usilnie mój stary przyjaciel, generał P. Zdaje mi się, że trudno było zrobić lepszy wybór!

— No, ale i wybór ten sownież kazał się opłacić... — dorzuciła niechętnie pani Dumany.

— Sam dobrowolnie naznaczyłem pensję którą pobiera pan Andeo, a która dla człowieka tak wysoce wykształconego, bynajmniej nie wydała mi się zbyt wygórowaną — odparł podrażnionym nieco tonem pan Duma-

ny. — A nie zapominajmy, że pan Andeo miał matkę staruszkę, którą własną utrzymywał pracą. A jakim był dla niej synem, wiemy o tem dobrze. Wszystko czego ci życzyć mogę, to abyś się doczekała równej pociechy z Franciszka — dodał nieco już łagodniej.

— Każda moja uwaga drażni cię zawsze, kochany Euzebiuszu, a Bóg widzi jak we wszystkim chciałabym ci się stać przyjemną...

— No, ale koniec końców cieszę się bardzo, że w niedzielę zasiądziemy wspólnie do obiadu. Pamiętaj Jo postawić dobrą butelkę burgunda, byśmy mogli wypić zdrowie pana Andeo.

Murzyn skinął głową z widocznem zadowoleniem widać było, że i on swą sympatyą obdarza nauczyciela.

Jo, był jedną z wybitniejszych osobistości w Landes oddany sercem i duszą swemu panu, był mu niezbędnym potrzebny. Śmiały był i uwagami swemi często dzielił się z panem... Tegoż samego dnia wieczorem rozbierając pana Dumany — rzekł niby od niechcenia.

— Czy pan znajduje jaki Iwonek jest ładny?

— Zapewne. Ale do czego to zmierza, bo widzę, że masz jakiś zamiar wspominając mi o tem dziecku.

— Doskonale wyglądałby przy stole, nauczylbym go zmieniać talerze i w razie naprzykład gdybym złamał nogę, mógłby mnie zastąpić przy panu...

— POCO masz łamać nogę? — zapytał, śmiejąc się pan Dumany.

— No, nie wiem, zresztą może rękę, może głowę... a widząc, że pan Dumany śmieje się coraz głośniejsze, dodał: O głowę moją niema zresztą obawy, bo mocno siedzi na karku, a ja przedtem jeszcze nauczę Iwonka usługi przy stole, jeżeli pan tylko pozwoli?

— Nie wiem jak trwała jest twoja głowa, ale do celu zdążyć umie, naucz Iwonka służyć do stołu, z chęcią się na to zgadzam.

Jo mocno uszczęśliwiony przyzwoleniem pana, zaraz nazajutrz rozpoczął naukę, wprowadził talerze mniej prędko były zmieniane, lecz Iwonkowi trzeba było przecież wytłómaczyć jak się to robi. Iwonek okazał się bardzo pojętym i gdy w niedzielę pan Andeo wraz z innymi zasiadł do stołu, usługa szła mu bardzo już składnie. Czekając go jednak wielkie wzruszenie. Na zapytania pana Dumany, gdzie spędził czas wakacyjny, pan Andeo odrzekł:

— Jak zwykle nad brzegiem morza, w tym roku dotarłem do Plumanach.

— Nie znam miejscowości tego nazwiska — odrzekł pan Dumany, przyglądając się pilnie Iwonkowi, który mocno pobałdł.

— Jest to mała wioska rybacka, byłem tam przez dni dziesięć.

— A są też tam skały? — pytał dalej pan Dumany, nie spuszczaając ocz z malca.

— A jeszcze i jakie, jedna szczególnie mocno mnie zainteresowała.

— Z jakiegoż powodu? — zapytał Franciszek.

— Cała historia... miałem z sobą dubeltówkę, i bywałem czasami tak okrutny, że za cel mych strzałów brałem różne ptaszki morskie, najczęściej mewy, które są zupełnie bezużyteczne. Raz, w chwili właśnie, gdy do

jednej z nich celował, sfrunęła na ziemię i najspokojniej u mych nóg poczęła łapać maleńkie kraby biegające po piasku. W tej samej chwili posłyszałem śmiech dziecinny, który zdawał się pochodzić z którejś skały. Pomyślałem, że mewa należyć musi do tych dzieci, które zapewne bawią się gdzieś w pobliżu i poszedłem dalej.

Nazajutrz wcześniej powróciłem w to samo miejsce, chcąc nałapać krewetek, też sama mewa podeszła do mnie, dopominając się bym z nią zdobycz podzielił. Zaciekawiony do kogo ona należy, obeszłem skałę dookoła. Jakież było moje zdziwienie, gdy nie znalazłem w niej najmniejszego otworu!... Była ona w kształcie wieży ogromnej, wykutej z jednego odłamu granitu, ani otworu, ani szpary nigdzie... I którądy dzieci te tam wchodziły, pytałem i nie mogłem znaleźć na to odpowiedzi.

— Przez otwór pod spodem! — wykrzyknął Iwonek i zapominając o swej roli, upuścił trzymany w ręku talerz na plecy pani Dumany, skąd zsunął się na ziemię i rozbił w drobne kawałki.

— A to co się ma znaczyć! — krzyknęła pani Dumany — kochany Euzebiuszu, nie pojmuję, jak mogłeś pozwolić by ten głupi chłopak usługiwał do stołu.

— Przebacź, kochana bratowo, dzisiaj zgodziłbym się z chęcią by mi rozbił wszystkie talerze.

— W każdym razie nie na moich plecach — rzekła kwaśno pani Dumany.

(d. c. n.)

ZŁOTA RYBKA.

БАЙКА.

Było raz dwoje dzieci: Janek i Kasieńka
Obydwoje ich bardzo kochała matenka,
Żyli w chatce ubogiej, lecz nie znali nędzy,
Mieli zawsze dość chleba, choć mało pieniędzy.
Ale, że nikt na świecie nie ceni swej doli,
Mówili: Jak szczęśliwi są gdzieś inni ludzie,
Co mieszkają w pałacach, nie wiedzą o trudzie,
Co jedzą słodkie ciastka, kiedy my chleb czarny
Doprawdy, że nasz żywot jest nędzny i marny!
Raz w dzień słoneczny, pogodny i cichy,
Poszli ponad rzekę z wędką,
Rozgniewani, że obiad był w tym dniu dość lichy,
Rzekli, że nie wrócą prędko.
Daremnie ich mateczka woła z progu chaty,
Poszli mówiąc, że pragną poznać inne światy.
Słuchaj Kasieńko, rzekł Janek,
Czyliś ty słyszała kiedy,
Jak dojść można w jednej chwili,
Do bogactwa zamiast biedy.
Trzeba złapać rybkę drobną
Malowaną w złote farby,
Ona wie i wskazać może
Gdzie są w ziemi skryte skarby,
Nie odchodźmy więc daleko
Tylko siądźmy ponad trzaską,

Może nam się złowić uda
Rybkę, która sprawia cuda.

Jak rzekli, tak zrobili
Dużo rybek ułowili,
Lecz niestety biedaczki
Były wszystkie szaraczki,
Nie miały złotej farby

Nie wiedziały gdzie skarby.

Aż dopiero nad wieczorem,
Gdy słońce zaszło za borem,
Z błękitnej jak niebo toni
Taki głos ku dzieciom dzwoni:
Jam jest rybka mądra, złota,
Którą ująć chcecie
Lecz darujcie mi swobodę
Skarb sami znajdźcie,
Idźcie tylko wprost przed siebie
Idźcie w świat daleko,
Znajdźcie go za górami
I za siódmą rzeką.

Znikła rybka w chłodnej toni
Dzieci stoją zadziwione,
Nie wiedzą czy słuchać rybki
I w którą iść stronę.
Bo Jankowi wprost przed siebie,
Trza iść w górę rzeki,
A Kasieńce z dolną falą
Dążyć w świat daleki.

Smutno rozstać się rodzeństwu,
Pożegnać się żal,
Lecz nie chcąc się wyrzec skarbu
Rozchodzą się w dal.
Idzie więc Janek wprost przed siebie
A pracę ma nielada
Bo strome góry, ostre skały,
Przebywać mu wypada.
Poranił nogi, krew mu płynie
Więc wzdycha do matuli,
Kto go opatrzy, ból ukoj
Na sercu kto utuli?

Idzie Kasia ciemnym borem, szumią nad nią drzewa,
Jakoś dziw, że żaden ptaszek w tym gąszczu nie
[śpiewa,

Tylko sowy na gałęzi ludzkim głosem krzyczą
Tylko listki białej brzozy szepeczą tajemniczo.
Drży ze strachu Kasieńka
Darmo pomocy wzywa
Co ja sama w tym borze
Pocznę nieszczęśliwa?!

(d. n.)

SZARADA.

Pierwsze mieści się zawsze wśród liczb w trzecim rzędzie,
Pierwsze z trzeciem, to sprzęty pożyteczne wszędzie.
Drugie z trzeciem wśród ziemi w ciężkim nieraz trudzie,
Na rozmaite cele robią różni ludzie.
Wszystko wraz zwłaszcza teraz gdy nadeszły żniwa,
Mozolnej pracy ludzkiej owoce ukrywa.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Białe Gołęb.

Skrzynka do listów.

Ułożyć 9 wyrazów, których początkowe litery utworzyć powinny pseudonym poety bieżącego stulecia. Znaczenie wyrazów: 1) Dopływ Dunaju. 2) Miasto w Japonii 3) Syn Rei Sylwii, postać mitologiczna rzym. 4) Ptak drapieżny, żyjący na całej kuli ziem. 5) Szkielety polipniaków. 6) Jezioro w Ameryce. 7) Bogini mądrości. 8) Król Sparty pan. od 491 prz. Chr. 9) Imię poety. Sylaby: Se—yo—ro—o—ko—on—mi—leo—a—ret—ko—mu—ha—rzeł—ra—ta—ner—ni—dam—ma—lus—le—rio—wa—das.

ZADANIE KONIKOWE.

| | | | | |
|-------|--------|------|-----|--------|
| nia | Chcesz | włać | sq | ma |
| przyj | bie | nie | pra | pra |
| dru | wie | * | cze | wpierw |
| czy | rzyj | w to | po | po |
| bie | gich | do | się | go |

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go:

Szarady: Ne — a — pol.

Łamigłówki w kwadracie:

J a ł o w i e c
N a ł ę c z ó w
U r s z u l k a
Ł u s k a w c e
T ę c z ó w k a
M ś c i s ł a w
D u b i e n k a
I r l a n d y a

Kwadratu magicznego:

W i s t
I g ł a
S ł ó j
T a j o

Nagroda, którą *Zosia L.* oczekuje z niecierpliwością, wkrótce ją dojdzie, z zalem jednak dowiadujemy się, że kilkotygodniowa choroba była przeszkodą do wcześniejszego zgłoszenia się po nią. Z całego też serca życzymy, aby odzyskane zdrowie służyło Zosi jaknajdłużej. — Opoźnienia w wysyłce „Wieczorów” nie z naszej powstało winy, lecz nie odbierając żadnego zawiadomienia, sądziłiśmy, że, jak się to często zdarza w miesiącach letnich, adres zmieniony został, w tych dniach przecież przedpłatę nadesłano, a zanim *Zosia* odpowiedź tę przeczyta *Wieczory* już mieć będzie.

Serdecznem pozdrowieniem witamy w gronie naszych korespondentek, skromną *Trawkę* ukr. Madesłane przez nią rozwiązanie kwadratu magicznego jest dobre; niechże jednak *Trawka* nie poprzestanie na tem, bo zawsze z wielką przyjemnością odbieramy od naszych czytelników takie dowody zajęcia się naszym pismem.

Z widocznem staraniem napisany liścik *Jadzi K.* podobał nam się bardzo; przyjemnieby nam było częściej takie odbierać. Nie dziwimy się wcale, że *Jadziunia* z radości powitania tatusia o wszystkim inuem zapomniała. Nagrody pewnie już nadeszły! *Wieczory* wysłaliśmy.

A. Jundz. zapewniamy, że Redakcja nie zapomina o żadnym ze swych pilnych czytelników, brakujący numer wysłaliśmy powtórnie, pierwszy zapewne w drodze zaginął.

W zamian za starannie napisany liścik z przyjemnością spełniamy prośbę *Kazia S.*

Za nadesłane przez *Skowronka* i *Foziomkę* leśną rs. 1, w imieniu biednych dzieci dziękujemy, bo też rzeczywiście dzieci te zasługują na nasze współczucie i często ani się domyślamy nawet o ile choćby najmniejszym datkiem przyczynić się możemy do ich dobra.

Dobre rozwiązania łamigłówek otrzymaliśmy od *Niezapominajki* z nad *Sanu*, młodej *Pszczółki*, *Józia* i *Zosi W.* jak również bardzo dobre od *C. Z.* nadesłane pierwszy raz, lecz mamy nadzieję, że nie ostatni.

Do wianka korespondujących z pismem naszym „kwiatków” z przyjemnością wpłatamy miłego *Bratka*, a ułożone przez niego zadanie kryształowe drukowaniem będzie, gdy przyjdzie na nie kolej.

Słusznie domyśla się *Stefcia R.*, że przesadzanie roślin doniczkowych nie jest tak prostą i łatwą robotą, jak wiele osób mniema, a sposób jej wykonania wpływa stanowczo na dalszy rozwój rośliny. Nie zawsze też większa doniczka jest potrzebną, przeciwnie ziemia w nazbyt wielkiem naczyniu ulega prędkiemu skwasnieniu wskutek czego roślina choruje. Do przesadzania roślin pokojowych najlepiej jest zabrać się wczesną wiosną, zanim nadejdzie silniejsze krażenie soków; są jednak niektóre rośliny, a do nich należą tak chętnie dla pięknych liści chodowane w pokojach „begonie” które lubią częściej zmienianą ziemię, ta jednak powinna być dobrze uprawna, inspektowa, zmieszana ze znaczną ilością piasku, lecz koniecznie zwirowego. Doniczki porcelanowe lub chociaż tylko polewane są niedobre jako tamujące przystęp powietrza, które dla dobra rośliny powinno ziemię przenikać, również z tej samej przyczyny nie należy nazbyt ścieśniać wazoników obok siebie w tak zwanych żardynierach czyli koszach. Przed nasypaniem w doniczki pierwszego pokładu ziemi, trzeba otwór w jej dnie założyć kałkiem stłuczonej doniczki, następnie ułożyć kilka węgielków drzewnych i zwirowo, a dopiero podtrzymując roślinę lewą ręką, lekko sypać przeznaczoną ziemię, tak aby się równo między korzonkami dostała; gdy już doniczka jest pełną, lekko ziemię przysgnieść od zewnętrznych jej brzegów, dosypać jeszcze ile jej potrzeba i podlać wodą. Świeżo przesadzone rośliny wymagają większej daleko uwagi i opieki jak zwykle.